

MARGINESY

Matki

Cała ta historia zaczyna się w momencie, kiedy aresztowana Katarzyna została przewieziona przez policjantów na pogotowie z silnym bólem w klatce piersiowej. Ale żeby zrozumieć, co wydarzyło się wcześniej, trzeba się dowiedzieć, kim właściwie jest ta kobieta.

Katarzyna urodziła się na początku lat 40. w dosyć ubogiej, ale bardzo katolickiej rodzinie. Gdy dorastała, musiała – z jednej strony – zajmować się młodszym rodzeństwem, zaś z drugiej donaszać mocno już podniszczone ubrania po starszych braciach. Choć była bardzo zdolna, nigdy nie miała szansy rozwijać swoich talentów, bo rodzicom zależało głównie na tym, żeby była prawą i pracowitą gospodynią. Jednak mimo że Katarzyna wybornie gotowała i starannie prała, a także prasowała i sprzątała, przez lata nie mogła znaleźć odpowiadającego zarówno jej, jak i jej rodzicom kandydata na męża. Nie była brzydka, ale za to pyskata i bezczelna, co odpychało „dobrych chłopców” wybieranych dla niej przez matkę spośród synów jej koleżanek z kółka gospodyń. Ona sama za to gustowała w artystycznych duszach bez grosza, a nierzadko też rozumu. Kiedy już miała 30 lat i nadal mieszkała z rodzicami, ku ich rozpaczyczaszła w ciążę z jednym z takich „artystów”. Choć chłopak w odczuciu jej rodziców stanął na wysokości zadania i chciał się z nią ożenić, ona stanowczo postanowiła, że wychowa dziecko sama, a takie wymuszone zamążpójście byłoby jeszcze gorsze niż drwiące uwagi sąsiadek. Wtedy też Katarzyna wyprowadziła się z domu.

Choć bardzo się starała, nie umiała wychować swojej córki tak, jakby chciała. Za wszelką cenę chciała być przeciwieństwem swojej matki, ale często łapała się na tym, jak bardzo ją przypomina. Katarzyna była dość surowa, a jednocześnie samotne macierzyństwo zmuszało ją do spędzania większości dnia poza domem na najróżniejszych pracach urągających jej intelektowi. Córka Małgosię podrzucała sąsiadkom, siostrze, czasami zostawiała samą w domu... Na dodatek zmuszała Małgosię do wyciętej nauki, uznając, że daje jej szansę, której ona sama została pozbawiona. Jednak Małgosia wdała się w ojca, poza tym miała dużo więcej talentu. Malowała, śpiewała, z łatwością uczyła się języków. Po matce odziedziczyła wszak jej wstręt do mężczyzn i trudność w nawiązywaniu zdrowych kontaktów. Przez całą podstawówkę i liceum uznawana była za dziwoląga siedzącego pod ścianą z książką, na dodatek miała długie warkocz i nosiła szarobure, workowate ubrania. Nie miała chłopaka, nie miała także serdecznych przyjaciół, miała za to psa – Reksia. Katarzyna, która całe dorosłe życie poświęciła ciężkiej pracy i wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości, nigdy z nikim nie związała się na stałe. Bardzo chciała, żeby życie jej córki, którą kochała nad życie, ale nie umiała tego okazywać, wyglądało zupełnie inaczej. Małgorzata wybrała studia filologiczne, na których mogła oddać się temu, co kochała najbardziej – literaturze. Podczas studiów nadal jednak mieszkała z matką, która znów popełniała błąd własnych rodziców i wścibsko ingerowała w najmniejszy nawet przejaw zainteresowania się Małgosi jakimś chłopakiem. Nie sposób sobie wyobrazić, w jaką historię wpadła Katarzyna, kiedy się okazało, że jej jedyna córka jest w ciąży i to z żonatym profesorem. Katarzyna przepłakała wiele nocy, zanim przyzwyczyła się do tej myśli, Małgosia jednak nie rozpaczła w ogóle. Nie spłynęło to po niej, ale specjalnie jej też nie zasmuciło czy ucieszyło. Ze skrucą przyjęła wyznanie profesora, który nie miał zamiaru porzucić rodziny dla młodej kochanki. Małgorzata jednak przerwała studia i podjęła pracę w bibliotece. Niskie zarobki nie pozwalały jej jednak uwolnić się od matki i kobiety wciąż mieszały we wspólnym, niewielkim i wilgotnym mieszkanku.

Maciek urodził się zdrowy i rumiany. Zarówno u własnej mamy, jak i babci Katarzyny wzbudzał od początku najlepsze z możliwych uczuć. Ciągłe się śmiać, szybko zaczął mówić, a zaraz potem biegać. Stał się także motorem wielu zmian – jego mama zaczęła już nie tylko czytać, ale także pisać. Jej książeczki dla dzieci okazały się prawdziwym hitem, a zarobione na nich pieniądze pozwoliły Małgorzacie i jej rodzinie przenieść się do większego, ładnego mieszkania. Ta sielanka trwała przez kolejne lata, Maciek rósł zdrowy i był bardzo bystry, jego mama kontynuowała karierę pisarską, a babcia miała wreszcie czas dla siebie.

Cały ten spokój miało jednak szybko zburzyć pojawienie się ojca Maćka. Mężczyzna przypomniał sobie o chłopcu po kilku latach, choć nigdy nie miał ochoty go nawet zobaczyć czy dać na niego jakiegokolwiek pieniędzy. Katarzyna od początku nie wierzyła w jego dobre intencje, ale Małgosia uznała, że może jej syn zasługuje na prawdziwą, pełną rodzinę. Wkrótce okazało się, że złe przeczucia Katarzyny były uzasadnione – mężczyzna miał ciężką rękę i bił Maćka, kiedy tylko chłopiec zrobił coś nie po jego myśli. Małgorzata była na to jednak zupełnie ślepa, właściwie nie chciała chyba tego widzieć, będąc zapatrzona w jedynego mężczyznę, który ją kiedykolwiek docenił.

Pewnego poranka, gdy Katarzyna wracała z zakupów, usłyszała dochodzące z kuchni ciche piski i tępe uderzenia. Małgorzaty nie było w domu. Wpadając do mieszkania, Katarzyna chwyciła wielki wazon stojący na kredensie i z całej siły uderzyła nim mężczyznę, który znów okładał na oślepkę skulonego Maćka. Ojciec chłopca padł trupem. Katarzyna mocno przycisnęła do swojego brzucha wnuczka i patrzyła na podłogę, która pokrywała się czerwoną krwią. Czuli, że dobrze zrobiła, ale pomyślała, że w tej sytuacji powinna uciekać. Podniosła jednak spokojnie słuchawkę telefonu i zadzwoniła po policję i pogotowie. Lekarze niewiele mogli już pomóc martwemu profesorowi, ona jednak poczuła straszne klucie w mostku, które okazało się wszak dosyć niegroźne.

Małgorzata długo nie mogła uwierzyć w to, co się stało – pobity syn, jej partner zamordowany przez jej własną matkę... Szybko zabrała dziecko i wyprowadziła się do innego mieszkania, pozostając jednak w mieście, żeby wspierać czekającą na proces matkę.

///

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Skoki i podskoki

Skocznia narciarska na warszawskim Stadionie Narodowym?! Informacja na ten temat zaskoczyła, a nawet zbulwersowała wielotysięczną rzeszę Polaków – nie tylko kibiców sportowych i sympatyków narciarstwa, ale także ludzi nieszczerze zainteresowanych sportowymi wycieczkami. Skąd taki pomysł? Otóż w Narodowym Centrum Sportu w Warszawie, które nadzorowało budowę stadionu, który oddano do użytku ze sporym opóźnieniem oraz zwiększonymi kosztami budowy, zaczęto się prawdopodobnie zastanawiać nad wykorzystaniem tego obiektu sportowego. Przyszan, że nie dziwię się, że zaczęto się nad tym zastanawiać – w końcu instytucja powołana przed Euro 2012 i finansowana z budżetu państwa chce dalej funkcjonować. Zatrudnione w niej osoby zaczęły więc rozmyślać nad tym, jak zachować pracę i wynagrodzenie. Po prostu chodzi o wikt i opierunek, jak popularnie określa się takie działania.

Informacja szybko trafiła na łamy gazet i do telewizyjnych studiów. Zaczęto dyskutować i dywagować nad tą sprawą. Jaka to ma być skocznia, jak ją wkomponować w stadion itp. Wypowiadali się na ten temat ludzie związani ze sportem i narciarstwem, a także ludzie bez większych sportowych zainteresowań. W zdecydowanej większości z wypowiedzi tych niewiele wynikało. Jedni chwalili pomysł, inni z niego kpili. Padły sugestie, że trzeba wybudować wieżę i zeskok kończący się na płycie boiska. Mamy projektantów, którzy potrafiliby właściwie wszystko przygotować. Rzecz jednak w tym, że wybudowanie dużej skoczni (k-120) sprawiłoby wiele trudności, a nawet byłoby niemożliwe, a mniejszej skoczni nie opłaca się budować. Skąd wziąć potrzebny śnieg? Zgarnąć go z warszawskich ulic? – niemożliwe. Zbierać go w podwarszawskich miejscowościach? – również niemożliwe. Pomysłodawcy szybko jednak „rozwiązali” ten problem. Śnieg można wytwarzać na warszawskim Torwarze i dowozić na skocznię. Ano można.

Podkreślano także, że narciarska skocznia przydałaby się w stolicy – młodzież mogłaby bowiem dzięki temu spróbować swoich sił w skokach narciarskich. Mówiąc o tym, jakoś zapomniano, że w Warszawie była skocznia narciarska, na której w dawnych latach organizowano zawody. Od paru ładnych lat nic na tej skoczni się nie działo. W końcu, bodajże trzy lata temu, skocznię zlikwidowano. Dlaczego? Nic na niej nie organizowano, a koszty utrzymania były spore. A teraz znaleźli się ludzie, którzy proponują wybudować skocznię na Stadionie Narodowym. Jest to pomysł, w którym nie bierze się pod uwagę kosztów projektu i budowy. Nie bierze się także pod uwagę kosztów związanych z utrzymaniem i obsługą obiektu – kosztów, które poniesie każdy obywatel, podatnik. A można sobie tylko pomarzyć, że na tym obiekcie będą odbywać się bez przerwy zawody z udziałem europejskiej czołówki. Turnieje w skokach narciarskich są rozplanowane szczegółowo na wiele lat. W Warszawie wymyślono sobie jednak budowę skoczni, która miałaby przyćmić inne tego rodzaju obiekty.

Za te same pieniądze można by wesprzeć kulturę fizyczną i sport młodzieżowy, wesprzeć lekcje wychowania fizycznego w szkołach i doposażyć finansowo nauczycieli oraz instruktorów, którzy mogą prowadzić dodatkowe zajęcia w ramach uczniowskich klubów sportowych.

W tym miejscu mogę doradzić władzom naszej stolicy, by przenieśli do Warszawy jedną ze skoczni z Tatr lub Beskidów – wyjdzie taniej. Od razu jednak należałoby ustalić, że wszelkie koszty związane z utrzymaniem skoczni będą ponosić wyłącznie mieszkańcy Warszawy. Kończąc ten temat, dodam tylko, że pomysł budowy skoczni na Stadionie Narodowym mógł się zrodzić tylko w głowie schizofrenika i to w bardzo zaawansowanym stadium choroby. Ten skok nie powinien w żadnym wypadku dojść do realizacji.

* * *

W innym warszawskim miejscu kilku ludzi robi różne podskoki do wielce intratnej funkcji – mam na myśli wybory na prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej, które odbędą się w październiku. Na placu boju pozostało pięciu kandydatów do fotela prezesa, którzy zebrali piętnaście wymaganych rekomendacji od klubów i okręgowych związków. Takich rekomendacji nie potrafił zebrać Grzegorz Lato, dlatego nie będzie kandydował. Na szczęście futbolowi działacze nie poparli także wszystkowiedzącej gwiazdy z PiS – europośła Ryszarda Czarneckiego. Jego kandydatura byłaby nieszczęściem dla naszego futbolu.

Piątka kandydatów rozpoczęła już walkę o głosy delegatów, którzy stawiają się na walnym zjeździe PZPN. Najmniej zabiegów czyni Zbigniew Boniek, wierzy bowiem, że jego znajomość w futbolowej Europie, m.in. przyjaźń z Mikiem Platinim, prezydentem europejskiej federacji piłkarskiej (UEFA), przekona delegatów do jego kandydatury. Boniek zapowiedział równocześnie, że funkcję prezesa będzie pełnił bez pobierania wynagrodzenia. Przypomnijmy, że Grzegorz Lato za pełnienie funkcji prezesa pobierał miesięcznie 50 tys. zł. Jego poprzednik Michał Listkiewicz otrzymywał o połowę mniej. Inny kandydat do prezesowskiego fotela Roman Kosecki, obecnie poseł PO, szuka wsparcia m.in. wśród partyjnych kolegów. Podobno wykonują oni telefony do futbolowych działaczy, w których namawiają ich, by poparli kandydaturę Romana Koseckiego. O tym, co obiecują w zamian, nikt nie chce głośno mówić.

Czai się także Zdzisław Kręcina, sekretarz generalny związku za rządów Michała Listkiewicza i Grzegorza Lato, którego odwołano z tej funkcji za udział w tzw. aferze taśmowej, w której miało chodzić o korupcję. Nic mu jednak nie udowodniono. Za Zdzisławem Kręciną stoją podobno sponsorzy naszego futbolu, którzy widzą w nim dobrego menedżera.

Są jeszcze prezesi wielkopolskiego i łódzkiego związku piłki nożnej, o których mówi się jednak, że mają najmniejsze szanse wskoczyć na fotel prezesa.

Kandydaci wykonują więc podskoki, by zebrać zwolenników, którzy pomogą im zasiąść w fotelu prezesa. Na dzisiaj nie ma jednak tzw. stuprocentowego kandydata. Wszystko rozstrzygnie się w tajnym głosowaniu na walnym zjeździe PZPN. Sądzę, że może dojść do niespodzianki.

Wybór prezesa jest w tej chwili najważniejszym problemem futbolowych działaczy. Inne sprawy odsuwane są na... zaś. Nawet mecz eliminacyjny do mistrzostw świata w 2004 r. z Anglią, który zostanie rozegrany na Stadionie Narodowym w Warszawie 16 października, nie wywołuje tyle emocji. A jest to przecież bardzo ważna konfrontacja. Porażka ograniczy do minimum szanse naszej reprezentacji na awans, czyli zajęcie pierwszego miejsca w grupie. Ba, zmniejszy również nasze szanse na wywalczenie drugiego miejsca, które upoważnia do gry w barażach.

Trener Waldemar Fornalik wierzy, że jego podopieczni rozegrają dobre spotkanie, że nie dadzą się „połknąć” Anglikom. W końcu Anglicy z trudem zremisowali z Ukrainą i to u siebie. Można z nimi skutecznie powalczyć.

HENRYK MARZEC